

WIATR PRZEZ DZIURKĘ OD KLUCZA

STEPHEN
KING



MRO CZNA WIEŻA

Po opuszczeniu Szmaragdowego Pałacu – niestety, nie był on pałacem z krainy Oz, jednakże teraz stał się grobowcem nieprzyjemnego faceta, znanego *ka-tet* Rolanda jako Tik-Tak – Jake zaczął coraz bardziej oddalać się od Rolanda, Eddiego i Susannah.

– Nie martwisz się o niego? – spytała Susannah. – O to, że jest tam sam?

– Ma ze sobą Eja – powiedział Eddie, mówiąc o bumberze, który uznał Jake’a za swojego najlepszego przyjaciela. – A Ej dobrze traktuje miłych ludzi, ale ma ostre zęby dla tych, którzy mili nie są. O czym boleśnie przekonał się niejaki Gasher.

– Ponadto Jake ma broń swojego ojca – dodał Roland. – I wie, jak się nią posłużyć. Wie to bardzo dobrze. Nie zejdzcie ze ścieżki Promienia.

Wskazał w górę okaleczoną dłońią. Nisko wiszące chmury w większości były nieruchome, tylko jeden ich rząd powoli płynął na południowy wschód. W kierunku Gór Gromu, jeśli notatka pozostawiona dla nich przez kogoś podpisującego się RF mówiła prawdę.

Ku Mrocznej Wieży.

– Tylko dlaczego... – zaczęła Susannah, lecz nagle fotel inwalidzki podskoczył na wyboju. Odwróciła się do Eddiego. – Uważaj, gdzie mnie pchasz, złotko.

– Przepraszam – rzekł Eddie. – Drogowcy ostatnio nie naprawiali tego odcinka autostrady. Najwidoczniej na skutek cięć budżetowych.

Wprawdzie nie była to autostrada, tylko droga... przynajmniej kiedyś: teraz zostały z niej dwie ledwie widoczne koleiny miejscami zasłane kulami solanki kolczystej. Wcześniej tego ranka minęli nawet opuszczony sklep z ledwie czytelnym szyldem SKŁAD TOWARÓW TOOKA. Weszli do środka, szukając prowiantu – wtedy jeszcze Jake i Ej byli z nimi – lecz nie znaleźli niczego prócz kurzu, starych pajęczyn i szkieletu jakiegoś stworzenia, które mogło być dużym szopem, małym psem lub bumberem. Ej obwąchał go pobieżnie, po czym obsikał kości i opuścił skład, żeby usiąść na środku drogi i owinać się puchatym ogonem. Spoglądał tam, skąd przyszli, i węszył.

Roland widział dziwne zachowanie bumbera i zaczął się niepokoić. Może ktoś ich tropił? Nie wierzył, żeby tak było, ale wygląd Eja – rozdęte nozdrza, nastawione uszy, podwinięty ogon – przywoływał jakieś wspomnienie lub skojarzenie, którego nie potrafił uchwycić.

– Dlaczego Jake chce być sam? – zapytała Susannah.

– Czy uważasz to za niepokojące, Susannah z Nowego Jorku? – zapytał Roland.

– Tak, Rolandzie z Gilead, uważam to za niepokojące.

Uśmiechnęła się przyjaźnie, lecz w jej oczach zapalił się dawny groźny błysk. Roland wiedział, że to ta część jej osobowości, która należała do Detty Walker. Detta nigdy nie odejdzie na zawsze i wcale nie było mu przykro z tego powodu. Bez tej obcej osoby, która wciąż tkwiła w jej sercu niczym okruch lodu, Susannah byłaby tylko ładną czarnoskórą kobietą z nogami obciętymi

poniżej kolan. Wraz z Dettą stała się osobą, z którą należało się liczyć. Była niebezpieczna. Była rewolwerowcem.

– On ma o czym myśleć – cicho powiedział Eddie. – Wiele przeszedł. Nie każdy dzieciak powraca z zaświatów. I jest tak, jak mówi Roland: jeśli ktoś stanie mu na drodze, gorzko tego pożałuje. – Eddie przestał pchać wózek, otarł pot z czoła i spojrzał na Rolanda. – Czy w ogóle jest tu ktoś na tym podmiejskim pustkowiu, Rolandzie? Czy może wszyscy poszli dalej?

– Och, zgaduję, że kilku tu zostało.

Wcale nie zgadywał; podążając ścieżką Promienia, byli kilkakrotnie obserwowani. Raz przez wystraszoną kobietę z niemowlęciem w zawiniątku, obejmującą ramieniem dwójkę dzieci. Raz przez starego farmera, półmutanta z podrygującą macką zwisającą mu z kącika ust. Eddie i Susannah nie widzieli tych ludzi i nie wyczuli obecności innych, którzy bezpiecznie skryci w krzakach i wysokich trawach obserwowali ich przemarsz. Eddie i Susannah musieli jeszcze wiele się nauczyć.

Jednakże wyglądało na to, że nauczyli się już przynajmniej części tego, co będzie im potrzebne, ponieważ Eddie zapytał:

– Czy to ci podążający za nami, których zwęszył Ej?

– Nie wiem.

Roland zastanawiał się, czy dodać, że jest pewny, iż w dziwnym umyśle małego bumblea załęgła się inna myśl, ale postanowił o tym nie mówić. Rewolwerowiec spędził długie lata bez *ka-tet* i przywykł nie zasięgać niczyich rad. Powinien zerwać z tym zwyczajem, jeśli *ka-tet* ma pozostać silne. Lecz nie dziś, nie tego ranka.

– Ruszajmy – powiedział. – Jestem pewien, że Jake tam na nas czeka.

Dwie godziny później, tuż przed południem, wspięli się na wzniesienie i przystanęli, spoglądając na szeroką, leniwie płynącą rzekę, szarą jak cyna pod zachmurzonym niebem. Na północno-zachodnim brzegu – po ich stronie – stał podobny do stodoły budynek pomalowany tak jaskrawozieloną farbą, że zdawał się krzyczeć w ciszy dnia. Jego koniec sterczał nad wodą, wsparty na palach pomalowanych na taki sam zielony kolor. Do pali była przywiązana grubymi powrozami duża tratwa, co najmniej trzydzieści metrów na trzydzieści, pomalowana na przemian w czerwone i żółte pasy. Z jej środka sterczał wysoki drewniany słup wyglądający jak maszt, ale bez żadnego żagla. Z przodu ustawiono kilka wiklinowych krzeseł zwróconych ku temu brzegowi rzeki, na którym się znajdowali. Na jednym z nich siedział Jake. Obok niego zajmował miejsce starzec w wielkim słomkowym kapeluszu, bufiastych spodniach i wysokich butach. Górną połowę jego ciała okrywała cienka biała koszula z rodzaju tych, które Roland nazywał fikuśnymi. Jake i stary zajadali ogromne kanapki. Na ich widok Rolandowi pociekła ślinka z ust.

Ej siedział za jedzącymi na krawędzi cyrkowo pomalowanej tratwy, bacznie przypatrując się swojemu odbiciu. A może odbiciu stalowej liny, która wisiała nad ich głowami, łącząc oba brzegi.

– Czy to jest Whye? – zapytała Susannah.

– Tak – odparł Roland.

Eddie się uśmiechnął.

– Dla mnie to oznacza „czemu nie?” – Podniósł rękę i pomachał. – Jake! Hej, Jake! Ej!

Jake pomachał mu w odpowiedzi i chociaż rzeka oraz przycumowana do brzegu tratwa znajdowały się jeszcze pół mili od nich, mając dobry wzrok, zobaczyli, jak jego białe zęby błysnęły w uśmiechu.

Susannah przyłożyła dłoń do ust.

– Ej! Ej! Do mnie, złotko! Chodź do mamusi!

Wydając przenikliwe świsty będące u niego odpowiednikiem warczenia, Ej przemknął po tratwie, znikł w podobnym do stodoły budynku, po czym wyłonił się z niego po ich stronie. Pobiegł ścieżką, z uszami położonymi po sobie i błyszczącymi ślepiami o złocistych obwódkach.

– Zwolnij, złotko, bo dostaniesz ataku serca! – zawołała ze śmiechem Susannah.

Ej uznał, że kazała mu biec szybciej. W niecałe dwie minuty znalazł się przy fotelu Susannah, wskoczył jej na kolana, a potem zeskoczył i spojrzał na nich wesoło.

– Olan! Ed! Suze!

– Witaj, Sir Throckenie – rzekł Roland, używając starego imienia bumblera, które po raz pierwszy usłyszał z ust matki czytającej mu książkę o dzielnym throckenie i smoku.

Ej podniósł nogę, obsikał kępę trawy, a potem znów obrócił się w tę stronę, z której przyszli, wężąc i wpatrując się w dal.

– Dlaczego on wciąż tak robi, Rolandzie? – zapytał Eddie.

– Nie wiem.

Jednakże Roland coś wiedział. Czy to było w jednej z tych starych opowieści, nie w tej o throckenie i smoku, ale podobnej? Tak mu się zdawało. Przez moment myślał o zielonych ślepiach spoglądających z ciemności i przeszedł go dreszcz – nie wywołany lękiem (choć może po części tak), ale wspomnieniem. Ono jednak zaraz mu umknęło.

Jeśli Bóg da, będzie woda, pomyślał i dopiero widząc zdziwienie Eddiego, uświadomił sobie, że powiedział to na głos.

– Hę?

– Nieważne – rzekł Roland. – Pogawędźmy z nowym znajomym Jake’a, dobrze? Może ma jeszcze parę kanapek.

Eddie, mający już dość pożywnej, lecz niewyszukanej stawy nazywanej burritos rewolwerowca, natychmiast się rozpromienił.

– Do licha, tak – rzucił i spojrzał na wymaginowany zegarek

na swoim opalonym przegubie. – A niech mnie, jeśli to nie czas na wyzerkę.

– Zamknij się i pchaj, słodziutki – ponagliła go Susannah. Eddie zamknął się i zaczął pchać.

3

Stary człowiek siedział, kiedy weszli do budynku, a stał, gdy wyłonili się zeń na brzegu rzeki. Zobaczył broń Rolanda i Eddiego – wielkie rewolwery z okładzinami z drzewa sandałowego na rękojeściach – i szeroko otworzył oczy. Przyklęknął. Było cicho i Roland usłyszał, jak zatrzeszczały mu przy tym stawy.

– *Hile*, rewolwerowcze – powiedział i przycisnął do czoła opuchniętą od artretyzmu pięść. – Pozdrawiam cię.

– Powstań, przyjacielu – rzekł Roland, mając nadzieję, że starzec istotnie jest przyjacielem. Jake chyba tak uważał, a Roland zaczął ufać jego instynktowi. Nie mówiąc o instynkcie bumblera.

– Powstań, proszę.

Starcowi przychodziło to z trudem, więc Eddie wszedł na tratwę i pomógł mu.

– Dzięki, synu, dzięki. A ty też jesteś rewolwerowcem czy uczniem?

Eddie spojrział na Rolanda. Ten nie zareagował, więc Eddie znowu popatrzył na starego, wzruszył ramionami i uśmiechnął się.

– Chyba po trosze jednym i drugim. Jestem Eddie Dean z Nowego Jorku. To moja żona Susannah. A to jest Roland Deschain z Gilead.

Starzec zrobił wielkie oczy.

– Powiedziałeś z Gilead? Naprawdę?

– Naprawdę – potwierdził Roland i poczuł nieoczekiwany smutek ściskający mu serce.

Czas był twarzą odbitą w wodzie i tak jak ta wielka rzeka przed nimi wciąż płynął.

– Zatem wejdźcie na pokład. I witajcie. Ten młodzieniec i ja już zostaliśmy przyjaciółmi.

Ej przeskoczył na tratwę i starzec pogłaskał uniesiony łeb bumbera.

– My także, prawda, mały? Pamiętasz, jak się nazywam?

– Bix! – natychmiast odparł Ej, po czym znów obrócił się na północny zachód i uniósł głowę. Oczami o złocistych obwódkach bacznie wpatrywał się w rząd chmur przesuwających się wzdłuż ścieżki Promienia.

4

– Zjecie coś? – zapytał Bix. – Mam niewiele i nic specjalnego, ale chętnie się tym z wami podzielę.

– Będziemy wdzięczni – powiedziała Susannah. Spojrzała na wiszącą nad ich głowami linę przerzuconą na drugi brzeg rzeki. – To jest prom, prawda?

– Tak – odparł Jake. – Bix powiedział mi, że po tamtej stronie są ludzie. Niezbyt blisko, ale i niezbyt daleko. Uważa, że uprawiają ryż, ale nie pojawiają się tu często.

Bix zszedł z wielkiej tratwy i wszedł do budynku. Eddie zaczekał, aż ze środka zaczęły dobiegać odgłosy otwieranych szafek, a wtedy nachylił się do Jake'a.

– Czy on jest w porządku? – zapytał cicho.

– Tak – odparł Jake. – To dlatego, że zmierzamy na drugi brzeg. Cieszy się, że będzie mógł kogoś przewieźć. Mówi, że nie robił tego od lat.

– Założę się, że tak – zgodził się Eddie.

Bix wrócił z wiklinowym koszykiem, który Roland szybko od

niego wziął, inaczej stary mógłby się potknąć i wpaść do wody. Po chwili wszyscy siedzieli na wiklinowych fotelach, zjadając kanapki z jakąś różową rybą. Mięso było dobrze przyprawione i smaczne.

– Jedzcie, ile chcecie – powiedział Bix. – W rzece roi się od ryb i przeważnie są zdrowe. Zmutowane wrzucam z powrotem. Kiedyś kazano nam wyrzucać mutanty na brzeg, żeby się nie rozmnażały, i przez jakiś czas tak robiłem, ale... – Wzruszył ramionami. – Żyj i daj żyć, mówię. Jako ktoś, kto długo żył sam, uważam, że mogę tak mówić.

– Ile masz lat? – spytał Jake.

– Jakiś czas temu skończyłem sto dwadzieścia, ale potem straciłem rachubę i tyle. Czas leci po tej stronie drzwi, wiecie.

Po tej stronie drzwi. Wspomnienie jakiejś starej opowieści znów zaczęło męczyć Rolanda i zaraz znikło.

– Kto kazał ci wyrzucać zmutowane ryby? – zapytała Susannah.

– Podążacie za tym? – Starzec wskazał na przepływające po niebie chmury.

– Tak.

– Do Calla czy dalej?

– Dalej.

– Ku wielkiej ciemności?

Ta myśl zdawała się jednocześnie niepokoić i fascynować Bixa.

– Podążamy naszym kursem – rzekł Roland. – Jaką opłatę weźmiesz za przeprowienie nas, przewoźniku?

Bix się roześmiał. Sucho i wesoło.

– Pieniądze są bez wartości, jeśli nie ma co za nie kupić, nie macie bydła i to jasne jak słońce, że mam więcej jedzenia niż wy. Ponadto zawsze możecie wycelować we mnie broń i zmusić mnie, żebym was przewiózł.

– Nigdy – powiedziała Susannah, robiąc zaszokowaną minę.

– Wiem – odparł Bix, machając ręką. – Bandydzi mogliby to

zrobić, a potem na dodatek spalić mój prom, kiedy znaleźliby się na drugim brzegu, ale prawdziwi mężczyźni nigdy by tego nie zrobili. Kobiety chyba też nie. Nie wyglądasz na uzbrojoną, panienko, ale z kobietami nigdy nie wiadomo.

Słyszac to, Susannah nieznacznie się uśmiechnęła i nic nie powiedziała.

Bix zwrócił się do Rolanda.

– Przybywacie z Lud, jak widzę. Chciałbym posłuchać o Lud i o tym, co tam się dzieje. Ponieważ to było cudowne miasto, wiecie. Rozsypujące się w gruzy i coraz dziwniejsze, kiedy je znałem, ale wciąż cudowne.

We czwórkę wymienili spojrzenia, które były absolutnie *an-tet*, rodzajem ich telepatycznego porozumiewania się. A także pełne żalu, które to słowo w dawnej mowie Świata Pośredniego oznaczało ubolewanie, ale również smutek.

– No co? – pytał Bix. – Co ja powiedziałem? Jeśli poprosiłem o coś, czego nie możecie mi dać, to błagam o wybaczenie.

– Wcale nie – powiedział Eddie – ale Lud...

– Lud jest pyłem na wietrze – wtrąciła Susannah.

– Właściwie nie jest pyłem – poprawił Eddie.

– Popiołem – rzekł Jake. – Popiołem, który świeci w ciemności.

Bix zastanowił się nad tym, po czym powoli skinął głową.

– I tak o tym posłucham, przynajmniej tyle, ile możecie opowiedzieć w ciągu godziny. Tak długo trwa przeprawa.

5

Bix się zjeżył, kiedy zaproponowali mu pomoc przy przygotowaniach. Powiedział, że to jego praca i wciąż może ją wykonywać, tyle że nie tak szybko jak kiedyś, gdy po obu stronach rzeki znajdowały się farmy i kilka niedużych faktorii.

Poza tym niewiele było do roboty. Przyniósł z budynku stołek i zrobioną z drzewa żelaznego śrubę oczkową z pierścieniem, wszedł na stołek i przymocował śrubę do końca masztu, po czym zaczepił ją o linę. Odniósł stołek i wrócił z dużą metalową korbą w kształcie litery Z. Uroczyście położył ją przy drewnianej nadbudówce na drugim końcu tratwy.

– Niech nikt z was nie strąci tego do wody, bo nigdy nie wrócę do domu – powiedział.

Roland przysiadł na piętach, żeby obejrzeć ten przyrząd. Skinął na Eddiego i Jake'a, którzy dołączyli do niego. Pokazał im słowa wytłoczone na długiej ręczce.

– Czy to jest to, co mi się wydaje?

– Yhm – potwierdził Eddie. – North Central Positronics. Nasi starzy znajomi.

– Kiedy to dostałeś, Bix? – spytała Susannah.

– Dziewięćdziesiąt lat temu albo jeszcze wcześniej. Gdybym miał zgadywać... tam są jakieś podziemia. – Wskazał mniej więcej w kierunku Szmaragdowego Pałacu. – Ciągną się całymi kilometrami i są pełne rzeczy, które należały do starego ludu, doskonale zachowanych. Dziwna muzyka wciąż płynie tam z głośników, muzyka, jakiej nigdy nie słyszałeś. Ona mąci w głowach. I nie waz się zostać tam długo, bo twoje ciało pokryją wrzody, będziesz rzygał i zaczną wypadać ci zęby. Byłem tam raz. Nigdy więcej. Przez jakiś czas myślałem, że umrę.

– Czy wypadaly ci nie tylko zęby, ale i włosy? – zapytał Eddie.

Bix się zdziwił, a potem skinął głową.

– Tak, trochę, potem odrosły.

– To korba *zestali*, wiecie.

Eddie zastanawiał się przez chwilę nad sensem tych słów. Co miała *zestalić* korba będąca przecież przedmiotem martwym? Potem pojął, że staruszek powiedział „ze stali”.

– Gotowi? – zapytał Bix. Oczywiście błyszczały mu prawie tak jak

ślepia Eja. – Mogę odbijać?

Eddie żartobliwie mu zasalutował.

– Tak jest, kapitanie. Kurs na Wyspę Skarbów.

– Chodź tu i pomóż mi z tymi linami, Rolandzie z Gilead, dobrze?

Roland chętnie to zrobił.

6

Prom powoli przesuwiał się po skośnie przerzuconej linie, ciągnięty przez leniwy nurt rzeki. Wokół wyskakiwały z wody ryby, gdy członkowie *ka-tet* Rolanda kolejno opowiadali starcowi o mieście Lud i o tym, co ich tam spotkało. Ej przez chwilę z zainteresowaniem przyglądał się rybom oparty łapami o krawędź tratwy. Potem znowu usiadł i z uniesionym pyskiem spoglądał tam, skąd przyszli.

Bix chrząknął, gdy powiedzieli mu, jak opuścili skazane na zagładę miasto.

– Blaine Mono, mówicie. Tak, pamiętam. Szybki pociąg. Był tam jeszcze jeden, chociaż nie pamiętam, jak się nazywał...

– Patricia – podsunęła Susannah.

– Ach, no właśnie. Miała piękne panoramiczne okna. Zatem mówicie, że miasta już nie ma?

– Nie ma – potwierdził Jake.

Bix spuścił głowę.

– To smutne.

– Istotnie – powiedziała Susannah, ujmując jego dłoń i lekko ją ściskając. – Świat Pośredni to smutne miejsce, chociaż bywa bardzo piękny.

Dotarli na środek rzeki i lekki, zadziwiająco ciepły wietrzyk wichrzył im włosy. Wszyscy zdjęli grube wierzchnie okrycia i

usiedli na wiklinowych fotelach dla pasażerów porozstawianych w różnych miejscach, być może do podziwiania widoków. Duża ryba – zapewne jedna z tych, które napchały sobie brzuchy, gdy wybiła godzina żerowania – wyskoczyła na tratwę i leżała, podskakując, przed Ejem. Chociaż bumbler zwykle błyskawicznie rozprawiał się ze wszystkimi małymi stworzeniami, które weszły mu w drogę, teraz jakby jej nie zauważył. Roland ciężkim butem strącił ją z powrotem do wody.

– Wasz throcken wie, co nadchodzi – zauważył Bix. Spojrzał na Rolanda. – Będziecie potrzebowali schronienia, prawda?

Roland przez chwilę nie odpowiadał. Z głębi podświadomości na powierzchnię wypłynęło wyraźne wspomnienie jednej z tuzina ręcznie malowanych ilustracji w starej i lubianej książce. Sześć bumberów siedzących w lesie na pniu zwałonego drzewa, pod jasnym półksiężycem, z uniesionymi pyskami. Jako mały chłopiec tę książkę właśnie, *Magiczne opowieści Elda*, lubił najbardziej ze wszystkich i matka czytała mu ją do poduszki w jego sypialni na wysokiej wieży, gdy jesienny wicher śpiewał na zewnątrz samotną pieśń, przywołując zimę. *Wiatr przez dziurkę od klucza*, tak nazywała się opowieść zilustrowana tym obrazkiem, a była jednocześnie straszna i cudowna.

– Na wszystkich mych bogów na wzgórzu – rzekł Roland i uderzył nasadą okaleczonej dłoni w swoje czoło. – Powinienem się zorientować od razu. Choćby po tym, jak ciepło się zrobiło w ostatnich dniach.

– Chcesz powiedzieć, że się nie połapałeś? – spytał Bix. – I ty jesteś ze Świata?

Cmoknął.

– Rolandzie? – zapytała Susannah. – Co jest?

Roland zignorował ją. Popatrzył na Bixa, Eja, a potem znów na Bixa.

– Nadchodzi lododmuchi.

Bix skinął głową.

– Ano. Throcken tak mówi, a bumblery w tej sprawie nigdy się nie myślą. Oprócz umiejętności wypowiedzania kilku słów to ich dar.

– Jaki dar? – spytał Eddie.

– Przewidywania – odparł Roland. – Bix, znasz jakieś miejsce na drugim brzegu, gdzie moglibyśmy się schować i przeczekać to?

– Przypadkiem znam. – Starzec wskazał na porośnięte lasem wzgórze po drugiej stronie Whye, gdzie czekała na nich druga przystań i budynek, tyle że niepomalowany i o wiele mniej okazały. – Na drugim brzegu zobaczycie trakt, wąską ścieżkę, która kiedyś była drogą. Podąża za ścieżką Promienia.

– Pewnie, że tak – powiedział Jake. – Wszystko służy Promieniowi.

– Słusznie prawisz, młodzieńcze, słusznie prawisz. Jak mierzycie drogę, w kołach czy w milach?

– W obu jednostkach – odrzekł Eddie – ale większości z nas łatwiej mierzyć w milach.

– W porządku, zatem podążajcie starą drogą do Calla przez pięć mil... może sześć... aż dotrzecie do opuszczonej wioski. Większość jej budynków jest z drewna i na nic wam się nie zda, ale świetlica jest z kamienia. Będzie wam tam dobrze. Byłem w środku i jest tam śliczny duży kominek. Oczywiście musicie sprawdzić komin i będzie wam potrzeba sporo karmy dla niego na te kilka dni, które tam przesiedzicie. Jako opału możecie użyć drewna ze zrujnowanych domów.

– Czym jest ten lododmuch? – zapytała Susannah. – Czy to jakaś burza?

– Tak – odparł Roland. – Nie widziałem jej od wielu, wielu lat. Na szczęście mamy Eja. A mimo to nie zorientowałbym się, gdyby nie Bix. – Położył dłoń na ramieniu starca. – Dzięki ci, *sai*. Wszystkie jesteśmy ci wdzięczni.

Budynek przystani na południowo-wschodnim brzegu rzeki rozpadał się jak wiele rzeczy w Świecie Pośrednim; z krokwi zwisały stada nietoperzy, a po ścianach biegały spalone pająki. Z zadowoleniem wyszli stamtąd na otwartą przestrzeń. Bix przycumował tratwę i dołączył do nich. Wszyscy uściskali go, uważając, by nie robić tego za mocno i nie połamać jego starych kości.

Kiedy się z nim pożegnali, starzec otarł łzy z oczu, pochylił się i pogłaskał łeb Eja.

– Dobrze się nimi opiekuj, Sir Throckenie.

– Ej! – rzucił bumbler. – Bix!

Starzec wyprostował się i znów usłyszeli, jak zatrzeszczało mu w stawach. Przycisnął dłonie do pleców i skrzywił się.

– Czy zdołasz przeprowić się z powrotem? – spytał Eddie.

– O tak – odparł Bix. – Gdyby była wiosna, może nie zdołałbym, bo Whye nie jest taka spokojna, gdy topnieją śniegi i padają deszcze, ale teraz? Łatwizna. Burza jest jeszcze daleko. Trochę pokręcę korbą, walcząc z prądem, potem zacisnę śrubę, żeby mnie nie zniosło, i odpocznę, a później znów pokręcę. Może potrwa to cztery godziny, a nie jedną, ale wrócę tam. Jak zawsze. Chciałbym tylko móc lepiej was nakarmić.

– To nam wystarczy – zapewnił go Roland.

– To dobrze. Dobrze. – Starzec wyraźnie nie miał ochoty odejść. Z poważną miną powiódł wzrokiem po ich twarzach, a potem uśmiechnął się, pokazując bezzębne dziąsła. – To było dobre spotkanie na szlaku, prawda?

– Prawda – rzekł Roland.

– A gdybyście tędy wracali, wpadnijcie z wizytą do starego Bixa. Opowiedzcie mu o waszych przygodach.

– Tak zrobimy – powiedziała Susannah, chociaż wiedziała, że

już nigdy tutaj nie wróca. Wszyscy to wiedzieli.

– I uważajcie na lododmuch. Nie ma z nim żartów. Macie jednak jeszcze dzień, a może nawet dwa. On jeszcze nie biega w kółko, prawda Ej?

– Ej! – rzucił bumbler.

Bix westchnął przeciągle.

– Teraz idźcie w swoją stronę – rzekł – a ja pójdę w swoją. Niebawem wszyscy będziemy pod dachem.

Roland i jego *ka-tet* poszli ścieżką.

– Jeszcze jedno! – zawołał za nimi Bix i odwrócili się. – Jeśli zobaczycie tego przekłętego Andy’ego, powiedzcie mu, że nie chcę żadnych piosenek ani żadnych cholernych horoskopów!

– Kim jest Andy?! – odkrzyknął Jake.

– Och, nieważne, i tak pewnie go nie spotkacie.

Takie były ostatnie słowa starca i nikt ich nie zapamiętał, aczkolwiek istotnie spotkali Andy’ego w wiejskiej społeczności Calla Bryn Sturgis. To jednak było później, kiedy burza przeszła.

8

Do opuszczonej wioski było tylko pięć mil i przybyli tam w niecałe dwie godziny po zejściu z promu. Jeszcze mniej czasu zajęła Rolandowi opowieść o lododmuchu.

– Kiedyś, raz, a nawet dwa razy w roku, spadały na Wielkie Lasy na północ od Nowego Kanaanu, chociaż nigdy nie mieliśmy ich w Gilead; zawsze unosiły się w powietrze, zanim dotarły tak daleko. Pamiętam jednak, że kiedyś widziałem jadące drogą do Gilead wozy wyładowane zamrożonymi ciałami. Zapewne wieśniaków i ich rodzin. Nie wiem, gdzie były ich throckeny... ich billy-bumblery. Może zachorowały i umarły. W każdym razie bez bumblerów, które mogły ich ostrzec, ci ludzie nie byli

przygotowani. Lododmuch nadchodzi nagle, rozumiecie. W jednej chwili jesteście rozgrzani jak piec, ponieważ przedtem zawsze się bardzo ociepla, a w następnej spada na was niczym wilk na stado owiec. Jedynym ostrzeżeniem jest dźwięk, jaki wydają drzewa, kiedy runie na nie zimny podmuch. To niczym łoskot wybuchających pod ziemią granatów. Zapewne odgłos towarzyszący gwałtownemu kurczeniu się drewna. A zanim usłyszeli to ludzie pracujący w polu, było już za późno.

– Zimny podmuch – głośno rozmyślał Eddie. – Jak zimny?

– Temperatura może spaść nawet o czterdzieści jednostek w niecałą godzinę – posepnie odparł Roland. – Stawy zamarzają w mgnieniu oka, z trzaskiem przypominającym brzęk szyb rozbijanych przez kule. Ptaki zamieniają się w powietrzu w lodowe posążki i jak kamienie spadają na ziemię. Trawa zmienia się w szkło.

– Z pewnością przesadzasz – zauważyła Susannah.

– Bynajmniej. Jednakże zimno to nie wszystko. Nadlatuje wiatr z huraganową siłą, łamiąc zamrożone drzewa jak słomki. Takie burze mogą przetaczać się przez ponad trzysta kół, zanim ustają równie nagle, jak się zaczęły.

– Skąd bumbley o tym wiedzą? – zapytał Jake.

Roland pokręcił głową. Nigdy nie interesowało go to, jak i dlaczego coś się dzieje.

9

Natknęli się na leżący na ścieżce kawałek tablicy z nazwą miejscowości. Eddie podniósł go i odczytał resztę wyblakłego napisu.

– To doskonałe podsumowanie Świata Pośredniego – rzekł. – Tajemniczy, ale dziwnie zabawny. – Odwrócił się do nich,